

# Prawdziwe punki i przebierańcy

ELŻBIETA GWÓŹDŹ

## Przesłość kontra terażniejszość

W Jarocinie wszyscy tęsknią za „starym Jarocinem”. Aż trudno uwierzyć, jak często pojawia się to sformułowanie: „stary Jarocin”. Stary, czyli jaki?

Pytamy o ten mityczny, nieodżałowany Jarocin wielu uczestników. Oczywiście kryterium wieku jest głównym wyznacznikiem prowadzonej przez nas selekcji. To trochę polowanie na starych punków albo po prostu tych, co Jarocin z „tamtych” lat mogą pamiętać. Pytamy o ten mityczny, nieodżałowany Jarocin wielu uczestników. Oczywiście kryterium wieku jest głównym wyznacznikiem prowadzonej przez nas selekcji. To trochę polowanie na starych punków albo po prostu tych, co Jarocin z „tamtych” lat mogą pamiętać.

—————>



rys. Dorota dorotes Skupniewicz (Jarocin 2015)

Chętnie opowiadają. Na przykład o tym, jak to jeden znajomy w 1984 roku uciekał przed milicją i wskoczył w końcu do stawu, żeby zgubić pościg. „O tu, do tego” – mówi mi Bogdan i pokazuje na parkowy staw, przy którym na trawie, rozłożeni na koczach, z winami w rękach koczują liczni uczestnicy. Jako badacze lubimy to miejsce. Jakoś tu swojsko, względna cisza sprzyja rozmowom; ludzie, widząc nas, podchodzą sami i bardzo chcą sobie pogadać. Większość trzeźwością nie grzeszy, ale gdy pojawia się godny temat – muzyka, wartości, kultura – język nie odmawia współpracy.

Bogdan zatrzymuje się obok mnie na rowerze i mówi, że musi szybko jechać na pogotowie, żeby mu wyjęto kleszcza, który zagnieździł się gdzieś w jego nodze. Ale interesuje go, o co tak wytrwale pytam te wszystkie osoby. Już wiem, że wspomnienia kotłują mu się w głowie. Nie pytam go o wiek, bo wystarczy mi informacja, że Jarocin lat 80. to „jego Jarocin”. Wizyta w sprawie usunięcia kleszcza będzie musiała chyba poczekać, bo Bogdan się rozkręca. Dla niego Jarocin to takie miejsce, w którym zamiast wina piło się mleko i oranżadę. W którym następowała kondensacja wszystkich wolnościowych pragnień. W którym ucieczka przed milicją przez staw i umiejętne jej wykiwanie to był powód do dumy. W którym na chwilę znikaly absurdy PRL, co to się dziś tak chętnie z nich śmiejemy. W którym nikt nie wytykał palcem za irokeza, spodnie w kratę, oberwane koszulki i wykolczykowane ciała. „To był taki zakątek, wiesz, ten Jarocin, gdzie się przyjeżdżało upewnić, że wolność i autentyczność gdzieś tam są, nie umarły. A muzyka to było najlepsze narzędzie do tego upewniania się. Rock and roll, big beat, te sprawy. Nie trzeba było być punkiem, żeby się tu dobrze czuć. Bo strój się nie liczył aż tak jak nastrój”.

Bogdan ma talent do tworzenia ad hoc ciekawych metafor i gier słownych, więc zapisuję w notesie co lepsze. Koszulka Bogdana współgra z jego talentem. Widnieje na niej logotyp „Społem” przerobiony na „Spałem”. Na koniec rozmowy Bogdan ma także puentę i choć brzmi ona naprawdę dobrze, to jest puentą smutną i wyrażoną bez jakichkolwiek nadziei na zmianę. „Bo ten festiwal

– mówi Bogdan – umarł już jakiś czas temu. Od dziesięciu lat nazywają te nowe edycje reaktywacją, ale to jest reanimacja raczej. I to taka, która już niczego nie ożywi”. Patrząc za Bogdanem odjeżdżającym na rowerze i myśląc, że jednak coś tam ożywić zdołała. Wspomnienia chociażby. Ale czy warto rokrocznie przyjeżdżać do Jarocina dla samych wspomnień?

## Ucieczka od wolności

Nie zadaję nikomu wprost tego pytania, ale z wszystkich chyba wypowiedzi „jarocińskich wyjadaczy” wynika, że tak. Bo muzyka nie zawsze im odpowiada. Na przykład zaproszeni w tym roku The Kooks zupełnie nie pasują do tego miejsca i jego historii. A najgorsze jest to, że nie pasują do oczekiwań stałej jarocińskiej publiczności, choć w line-upie figurują jako główna gwiazda festiwalu. Ze wszystkich naszych informatorów najbardziej na niekorzystne zmiany bluzgają Grześ i jego dwóch kolegów. Czują się rozczarowani i są skłonni stwierdzić, że jedyne, co trzyma Jarocin przy życiu, to jego historia. Bo muzyki z tegorocznej edycji równie dobrze mogą posłuchać w jednej z ogólnopolskich, komercyjnych rozgłośni radiowych. Cemu więc nie wyjechać kilka kilometrów za miasto i nie posłuchać sobie za darmo ulubionej muzyki z samochodu? A nie jakiegoś „punkopolo”, jak określił tegoroczny dobór muzyków znajomy Grzesia.

Dumamy nad tym dłuższą chwilę i ostatecznie dochodzimy do wniosku, że tradycja i wspomnienia są wystarczającymi powodami, aby do Jarocina wracać, choć pewnie z roku na rok z mniejszym entuzjazmem. Chyba że organizatorzy przestaną poszerzać line-up o artystów, którzy powinni występować na Open'erze.

W chwili obecnej jednak prawie zewsząd sęczy się jad na organizatorów za to, że nie zadbali o godny repertuar. No i że odwrócili tę nieszczęsną scenę tyłem do rowu ciągnącego się wzdłuż ulicy Maratońskiej. Bo trzeba wiedzieć, że rów wcześniej pozwalał słuchać i oglądać występy tym, których nie było stać

na wejściówki. Ale pełnił też ważną funkcję integracyjną. W tym roku na szczęście, pomimo organizatorskiego psikusa ze sceną, nic się w tym miejscu nie zmieniło. Wieczorem trudno znaleźć wolne miejsce na trawie po obu jego stronach. Zwłaszcza że wysiadują tam także ci, którzy kupili bilet i mogliby, ku uciechu organizatorów, zajmować miejsce w ogródku piwnym na „terenie imprezy masowej”<sup>1</sup>. Ale wołają po starym i bardziej w klimacie. Relacje z rowu – zdjęcia, filmy – są nie mniej ważne od relacji z festiwalu. Jeśli więc brakuje ci klimatu pod sceną, przenieś się do rowu. Tak na pewno uratujesz swój festiwal.

Całe to narzekanie sprawia, że zaczynam się zastanawiać, po co ci wszyscy ludzie tu przyjeżdżają. Musi być jeszcze jakiś powód, bo przecież jest tu mnóstwo tak młodych uczestników, że nie mogą pamiętać Jarocina sprzed 30 lat. Tym bardziej więc jestem zdziwiona, kiedy dwudziestokilkulatki na pytanie „jakiego festiwalu brakuje ci dzisiaj w Polsce”, odpowiadają po raz enty: „starego Jarocina”. Legenda festiwalu ma chyba większą moc, niż można by się spodziewać, i niewątpliwie przechodzi na następne pokolenia. Grześ mówi, że kiedyś Jarocin był dla wszystkich oddechem wolności. Darek, informator, który pierwszy Jarocin zaliczył w 1984 roku, kiedy miał 16 lat, mówi tak: „Ja mieszkałem na wsi i byłem tam trochę odmieniec. Różniłem się, i to dość solidnie, wyglądem, zachowaniem, poglądami. Byłem troszeczkę, że tak powiem, wytykany palcami. A jak tu przyjeżdżało się i widziało się 10, 12 tysięcy ludzi, którzy wyglądali tak jak ty, myśleli tak jak ty, no to, kurczę, to jednak robiło wrażenie”.

Darek jest nastawiony do nowego Jarocina nieco inaczej niż Grześ i jego koledzy. Zdaje sobie sprawę ze zmian, także tych negatywnych, ale podkreśla, że na tym festiwalu nadal wyjątkowo czuć ducha wspólnoty. Sam przyjechał tutaj z córką i jej znajomymi,

a resztę współtowarzyszy poznał w pociągu. Darek nie narzeka aż tak na muzykę. Cieszy się na koncert Petera Hooka i chwali My Riot za naprawdę dobry występ. Stary Jarocin określa jako „wyspę wolności”. Uważa, że dziś nadal ten festiwal jest potrzebny. Zwłaszcza młodym, którzy choć żyją w wolnym już świecie, chcą uciec na te kilka dni od pracy w korporacjach i od obowiązującego w nich sztywnego dress code’u. Chcą założyć skórę, glany, postawić tego cholernego irokeza i czuć się z tym komfortowo. Jarocin daje taką możliwość. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Coś dobrego z przeszłości przetrwało i jest potrzebne, choć terazniejszość jest całkiem inna. Paweł Kukiz powiedziałby pewnie: „Trzeba walczyć o terazniejszość, a jak się wywalczy terazniejszość, to wtedy będziemy mieli przyszłość”. I nie jest to wcale cytata z kampanii wyborczej<sup>2</sup>.

## Nigdy nie będzie takiego Jarocina. Nigdy

I znów pora na sentymenty. Jeśli ktoś chce ich szukać, to znajdzie najwięcej w Spichlerzu. W barze Spichlerz, gdzie jest niewiarygodnie tania kawa i zawsze czeka zimne piwo, można zamówić także oranżadę, a w zestawie śniadaniowym dwie bułki i maślanek. Przy okazji warto wejść na piętro i obejrzeć wystawę przedstawiającą historię polskiej muzyki rockowej. Poczytamy o niej i jej posłuchamy. Obejrzymy też kilka prawdziwych smaczków, bo w gablotach są na przykład legendarne glany Renaty Przemyk i strój sceniczny Anji Orthodox. W Spichlerzu odbywają się poza tym koncerty, warsztaty i spotkania. Można sobie do tego kupić jarociński kubek albo bransoletkę, a nawet dobrą literaturę gatunkową. Bo jak dowiadujemy się od twórców tego miejsca, to wcale nie jakaś „izba pamięci”, ale „żywy magazyn muzyki”.

Wspomnienia jednak muszą być, historia i terazniejszość w równym stopniu konstytuują istnienie

<sup>1</sup> Określenie „teren imprezy masowej” figuruje na białej kartce formatu A3, wywieszanej tuż przed bramkami. To znamieny widok, biorąc pod uwagę, że „masowy” jest ostatnim określeniem, jakie kiedyś pasowałoby do festiwalu w Jarocinie.

<sup>2</sup> Cytat z filmu **Fala** Piotra Łazarkiewicza z 1985 roku (w cytowanej scenie młodzieńki Paweł Kukiz udziela wywiadu).

Spichlerza. Na ścianach porozwieszano fotografie, a pod nimi umieszczono sentencje. „Nie było Unii. Kielbasa mogła być wędzona, a ogórki kiszzone” – oto jedna z nich. Rejestrując te słowa, mimowolnie myślę o piosence *Finlandia* Świetlików, w której Bogusław Linda przekonuje, że „nigdy papieros nie będzie tak smaczny, a wódka taka zimna i pożywna. Nigdy nie będzie tak ślicznych dziewczyn. Nigdy nie będzie tak pysznych ciastek”. Inne zdjęcie prezentuje tęskne wspomnienie o oranżadzie – napoju tak wszechobecnym, a jednak nieposiadającym wówczas nawet własnego logo. Na kolejnym czytamy, że wówczas w Jarocinie „scena mogła być papierowa, ale alternatywa była prawdziwa”.

Te hasła zaś wskazują dokładnie na to, przeciwko czemu wielu z nas się dziś buntuje i od czego chce uciec – od kultu marki, wyścigu szczurów, obłudnych mediów i władzy, kłamliwych reklam. Od Polski w wielu dziedzinach uwstecznionej, skłóconej i tonącej w papierologii. Od absurdów, z których nikt się nie śmieje. Od tego, że wszystko jest na sprzedaż. Może właśnie dlatego pewne rzeczy na festiwalu jarocińskim wyjątkowo przeszkadzają – wszechobecne logo organizatora, promujące się marki, drogie karnety, odwracanie sceny tyłem do najbardziej klimatycznego miejsca w Jarocinie (przynajmniej w ciągu tych trzech dni), czyli rowu. Pamięć o czasach, kiedy nawet oranżada nie miała swojego logo, ugruntowała w uczestnikach niezgodę na komercjalizację, szczególnie komercjalizację wolności. Bo przecież nie o tęsknotę za samą oranżadą tutaj chodzi, ale za światem bez przymusu produkcji, promocji, popytu i podaży. I bez pieniędzy oczywiście też. Ale dla kogo w Jarocinie pieniądze mogły mieć wtedy znaczenie?

## „Forsa i ciuchy nie stanowią o człowieku”

Powyższy cytat pochodzi z filmu nagrywanego przez policję w Jarocinie w 1990 roku. Funkcjonariusze podawali się wtedy za dziennikarzy i rozmawiali z uczestnikami. Ale już nie o Jarocinie teraz. Tym razem o OFF Festiwalu, imprezie, na której trudno szukać potwierdzenia cytowanych słów.

Z odpowiedzi respondentów wynika, że lubią tu zostawiać gotówkę. Kupić płyty. Dużo płyt. Kupić ciuchy, pójść do fryzjera (tak, jest tu polowy fryzjer). Zjeść co nieco w strefie gastro, która, nie ma co, robi wrażenie. Przede wszystkim cenami, ale też specyfiką oferty. Jeden z uczestników, Konrad, wspomina, że na OFF-ie sprzed lat jadał mini hot-dogi za trzy złote. Teraz nie ma tu już tak prostego jedzenia (z „fast foodów to chyba tylko wegeburger z tofu” – śmieje się). I taniego – paradoksalnie festiwalowicze trochę na to psioczą.

W czasie festiwalu mam okazję rozmawiać z Mariuszem Czubajem, który gości w Kawiarni Literackiej, notabene moim ulubionym miejscu, choć do atmosfery Spichlerza trochę mu daleko. Czubaj mówi, że w festiwalach przeraża go szczególnie jedna rzecz – że zawsze, poza nielicznymi wyjątkami, przebiegają w pewnych ściśle określonych ramach i nie ma w nich wiele miejsca na spontaniczność. OFF jest tego najlepszym przykładem i wystarczy pobyc tu w ciągu dnia, aby wiedzieć, że nic nie jest przypadkowe. Szczególnie poważnie potraktowano na OFF-ie kwestie porządkowe. Jest tu czysto, na trawie nie ma prawa leżeć żaden kubek po piwie, na stołach za to leżą specjalnie pomyślane popielniczki, można też sobie samemu poleżeć – na jednym z kilku ogólnodostępnych łóżek z Ikei. Festiwal estetyki. Ale czy jest w tym coś złego? Dla tych, którzy przyjeżdżają tu corocznie, to wielki plus. Takich raczej zabraknie na Woodstocku, a pewnie też w Jarocinie, bo będzie dla nich za brudno. Z wypowiedzi większości tutejszych respondentów wynika zresztą, że na te dwa festiwale jeżdżą rzadko. A szkoda, bo mam wrażenie, że zaznanie wspólnotowości i otwartości, tak dla nich charakterystycznych, przydałoby się części ludzi, których tu spotykam. Części kiszającej się we własnym sosie, mało przystępnej lub przystępnej tylko dla „swoich”, po prostu tej części, która na prośbę o krótką rozmowę przy ankiecie reagowała dziwnym przestrachem lub pełnym dezaprobaty młaiściem i następującym po nim sakramentalnym: „no dobra, ale szybko”. Taka postawa dziwi mnie tym bardziej, że od uczestników OFF Festiwalu wręcz trzeba oczekiwać otwartości, bo przecież zapraszani tu muzycy to artyści mało jeszcze popular-

ni, niszowi, których dopiero się poznaje i odkrywa. I pod tym względem OFF w opinii wielu wygrywa, bo nie ulega komercjalizacji. Spotkany tutaj Maciej Melecki z Instytutu Mikołowskiego twierdzi, że OFF się nie zmieni, tak jak zmieniły się inne festiwale. Nie skomercjalizuje, tak jak Open'er czy Jarocin. Będzie się modyfikował, ale jego oferta artystyczna nigdy nie zawiedzie.

Chciałoby się teraz powiedzieć, że publiczność jarocińska w obliczu skomercjalizowania także ich festiwalu mogłaby przyjeżdżać na OFF, bo tu tego nie doświadczy. Ale jakoś nie jestem w stanie wyobrazić sobie, jak łączą się te dwa światy. Choć na tegorocznym OFF-ie miało miejsce wydarzenie, które mogłoby je spajać. To koncert Patti Smith. Gdy artystka, kończąc występ, wołała ze sceny: „People, be strong, be free! We have the fucking power to change the world!”, pomyślałam, że wybrzmienia dokładnie takich słów potrzebował w tym roku festiwal w Jarocinie.

Mam nadzieję, że może za rok coś podobnego będzie można tam usłyszeć. Bo wołę jednak, kiedy ktoś zawoła „chodź, siadaj z nami!”, poczęstuje mnie tym sławnym tanim winem, włączy z komórki swój ulubiony utwór formacji Zabili Mi Żółwia, a na koniec uściska i doda jeszcze, że mogę zawsze na niego liczyć. I nie jest to pijacki bełkot. Dlatego w przyszłym roku przyjadę do Jarocina, ale na OFF już nie. Kwestia wyboru między prawdziwymi punkami a przebierańcami.

Artykuł powstał w ramach realizacji projektu badawczego *Muzyka, wartości, kultura, Jarocin re-study*, sfinansowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego (Program Obserwatorium kultury).

rys. Dorota dorotes Skupniewicz (Jarocin 2015)

